Rok I. Lwów, dnia 3. Grudnia. 1877. Nr. 30.

Prenumerata we Lwowie
Całoroczna . . . . . 3 złr 70 ct.
Półroczna . . . . . 1 82 ct.
Z przesyłką pocztową prenumerata jak na prowincyi.
Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 cnt. od wiersza drobnym drukiem

Wydawca i Redaktor:
Ksiądz Stanisław Stojałowski.

Prenumerata na prowincyi.
Całorocznie . . . . . 4 złr.
Półrocznie 2
W cesarstwie niemieckiem . . 8 marek.

Wychodzi co dwa tygodni.

Redakcya i Administracya:
Lwów ulica Piekarska Nr. 7

PIAST

DWUTYGODNIK
poświęcony sprawie polsko-katolickiej.

In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas S. Aug. | *W koniecznych zgoda, w wątpliwych swoboda, we wszystkiem miłość. S. Aug.*

Z końcem roku.

Z niniejszym numerem kończymy rok pierwszy, a właściwie piąty kwartał istnienia *Piasta*. Rok ten dla nas był z jednej strony szczęśliwym, lecz z drugiej nader też fatalnym. Szczęśliwym był on, gdyż dopięliśmy wielkiego zamiaru i dostąpiliśmy szczęścia zwiedzenia Rzymu, złożenia hołdu Namiestnikowi Chrystusowemu, i ucałowania stóp Piusa IX.; szczęśliwym był on, bośmy mimo kolosalnych przeszkód dotrwali na ciężkim naszem stanowisku...

Atoli fatalnem było, że właśnie w tym jednym roku tyle się razem zbiegło trudności i — przyszło do smutnego rozdziału... Zakończyć ten ostatni nie naszym dziś obowiązkiem — dla nas wystarczy i sumienie nasze zaspokaja to, że nie stawialiśmy i nie stawiamy przeszkód. Tyle o przeszłości...

Przyszłości niesiemy w darze to samo, co dotąd była naszem głównym zasobem: dobrą wolę, gotowość do prac i ofiar, wytrwałość i wierność naszym katolickim zasadom.

Czujemy to jednak aż nadto dobrze, że „Piast“ w dotychczasowych swych rozmiarach nie odpowiada celowi, jaki wytknęliśmy sobie rozpoczynając jego wydawnictwo. Chcąc je uzupełnić próbowaliśmy różnych sposobów: chcieliśmy dodawać do niego „Homilie,“ później „Kaznodzieję polskiego“ — pragnąc aby „Piast“ był poniekąd wypełniany, aby się stać mógł organem ludzi katolickich przekonań, przyjmujących z całą szczerością hasło ojców: „Za wiarę i ojczyznę“ — lecz mimo to uznających podniesione i powtórzone na nowo a przez nas św. Augustyna hasło *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas!*

Pokazało się, że to niepraktyczne — trzeba więcej jednolitości, potrzeba pisma jeśli nie codziennego, to przynajmniej jak najczęstszego, aby sprostać zadaniu, zbliżyć się do naszego celu. Nie taimy przed sobą ogromu pracy, ani wielkości przeszkód, wszakże w Imię Boże — za wiarę i ojczyznę

Przemieniamy „Piasta“
na pismo polityczne

wychodzić mające (początkowo) *trzy razy* tygodniu

Programu nie podajemy — program nasz i dążności znane czytelnikom, znane całemu krajowi.

Zamiana ta wejdzie w życie najdalej dnia 15 stycznia 1878 — ogłaszamy ją dziś jednakże, aby zawczasu obznajomić z nią czytelników naszych i wezwać ich do poparcia i propagandy tego organu konserwatywno-katolickiego, którego potrzebę *uznają* wszyscy. Ale uznawać to mało; trzeba popierać, a popierać żywo i gorąco. Tylko wspólnemi siłami zdołamy wytworzyć w kraju prawdziwych patryotow, mężów wedle serca Bożego, *kawalerów świętego Krzyża*, którzy za konfederatami Barskimi powtórzą hasło: *Jezus, Marya!* Bliższe warunki poda załączon List.

Klęska sprzymierzonych dziennikarzy lwowskich.

Prawda może być przytłumioną, ale nigdy nie można odebrać jej życia. Prawda, jako Ten od którego ona pochodzi, jest wieczną, i żyje nawet wówczas gdy jest uciśnioną, a tem samem obchodzi ona tryumf nieprzerwany nad swemi przeciwnikami. Ta tylko jest różnica jej tryumfów, że jedne z nich są promienne i widoczne jak blask słońca w południe, inne są osłonione i ciche, jak ono światło słońca nie gasnące, choć je gęste i czarne chmury zakryją przed naszemi oczyma.

Taką prawdę ma w sobie sprawa polska. Wspiera się ona na odwiecznych zasadach sprawiedliwości, a więc na wierze, rozumie i uczciwości. Ani błędy własnych jej legalnych rzeczników, ani nieumiarkowany, tak bliski wyuzdania patryotyzm terorystów nie mógł wstrzymać ani nawet skrzywić lub osłabić jej tryumfu. Zmysł zdrowego rozsądku i polityka drogi pośredniej odniosła też prawdziwy tryumf z jednej strony przez odezwanie się delegacyi, z drugiej strony przez klęskę skojarzonych przywódzców gazeciarskiego absolutyzmu patryotycznego.

Po nowej wojnie kokoszej w r. 1877, trwającej również dwa przeszło miesiące, powróciło rycerstwo nasze piórowe „broniące za wyłącznym patentem wolności i zbawienia ojczyzny."

Nie jakobyśmy chcieli urągać zwyciężonym, ale tak dla wykazania prawdziwości naszych zapatrywań i trafności naszego postępowania, jako też dla zachęcenia ludzi konserwatywnych, aby raz już porzucili politykę abstencyi i bezczynności, chcemy poniekąd *ab ovo* skreślić przebieg agitacyi antidelegacyjnej, a w końcu wyborczej we Lwowie.

Gdy milczenie delegacyi, które wszystkich sprawę polską miłujących zastanawiało i smuciło, zaczęło dziennikarstwu lwowskiemu podawać materyał do występywania przeciw delegacyi, twierdziliśmy niejednokrotnie, że delegacya przemówić powinna, a jawnem, stanowczem określeniem stanowiska ma obowiązek uspokoić wzburzone umysły. Gdyby ten głos rozjemczy, głos prawdziwej miłości ojczyzny był usłuchany, byłoby się obeszło bez półrocznego kotłowania w łonie naszego miasta i społeczeństwa. Tymczasem rzecznik delegacyi niefortunną nad wszelki wyraz obroną dolewał ognia do oliwy, a *lapsus calami* znakomitego pisarza rozdmuchał prawdziwy pożar.

Wtedy to daliśmy głośny wyraz zapatrywaniom naszym, których prawdziwość dziś jest faktem stwierdzona. Gdyby powiedziano wówczas w prostocie serca i bez frazesów: „Delegacya milczała — to było błędne — ale się odezwie w porę i stanowczo — dowodem tego adres do sejmu, który nie istnieje dla rządu, ale istnieje dla nas o tyle, o ile jest wyrazem uczuć większości sejmu, a pośrednio i delegacyi" — byłaby musiała ucichnąć wrzawa kokoszan. To się nie stało — i przeto dążności krzykliwych patryotów zaczęły przekraczać wszelkie granice. Powołano p. Czerkawskiego — znaglono p. Dr. Smolkę do złożenia mandatu — obrano zacną ale poetyczną duszę na delegata — rozpoczęto agitacyę wyborczą — puszczono fajerwerk w którym spłonęły czerwonym ogniem litery A. S., uchwalono program antidelegacyjny — myśmy stali na uboczu — chociaż wcale zasadzie abstencyi nie hołdujemy — *jedynie dla tego, bo te wszystkie roboty uważaliśmy za pomylone*, nierozumne, a nawet nieszlachetne.

Bo też rzeczywiście od początku życia konstytucyjnego w kraju, działanie polityczne i wyborcze w naszej stolicy zostało spaczone, a spaczone jedynie w tym celu, aby zapewnić wolne pole działania tym, którzy jak ktoś trafnie powiedział: „zaarędowali ratusz."

Dziennikarze nasi, tego im nie zaprzeczamy, stali rzeczywiście na czele rozbudzającego się ducha wolności, ale wówczas byli oni z narodem jeszcze, bo wierzyli jako naród, a przynajmniej szanowali uczucia narodu, owszem w dobrej czy złej wierze, uczucia wiary i pobożności przerobili na środek agitacyjny. Ale właśnie ztąd, że ruch rozpoczął się od nabożeństw, i stawiania krzyżów, naród nie spostrzegł się ani nie przypuszczał, że ci sami, którzy go wiedli do kościołów, stawiali krzyże i spiewali patryotyczne hymny, będą powoli przyuczać poniewierać krzyże a lekceważyć kościoły.

Wszakże zdrowy zmysł narodu może na chwilę być odurzonym, łatwo jednak może się ocknąć, trzeba więc było zaasekurować sobie władzę, kierownictwo i przodowanie. Stało się to właśnie w ten sposób, iż opanowano ratusz i wymyślono arcywyborny dla dziennikarzy i ich adeptów system obierania. Na pierwszem zgromadzeniu wyborców obiera się komitet *obszerniejszy* 150! któremu ma być powierzoną sprawa wyboru.

Obszerniejszy ten komitet 150 — o ile jest anomalią w wyborczych praktykach, wedle których do komitetów obiera się *kilku powszechnie znanych* i szanowanych osobistości, o tyle jest arcydogodnym manewrem dziennikarzy, aby usunąć wszystkich, którzyby im szyki mięszać mogli. Zwykle bowiem tak się dzieje że wyborcy nie mogąc się znaleść w lesie 150 nazwisk, z tą chyba uwagą, że ten lub ów ze 150 już nie żyje, oddają niezmienioną listę obszerniejszego komitetu. A trzeba dodać, że składa się ona wyłącznie z ludzi, dziennikarskiego obozu lub z takich, którzy się nigdy prawie na ratuszu nie pokazują. *.) Na mocy zaś tego rzekomego wyboru 150 — przechodzi cała czynność wyborcza w ręce obozu dziennikarzy. Potem bowiem aż do czasu, w którem wybrani przez ten komitet 150 kandydaci, wyznania wiary politycznej składać zaczynają — już tylko komitet 150 zbiera się na narady, i tam już tylko oni głos mają, a tem samem nikt, krom ludzi dziennikarskich, wpływać nie może na programy i wybór kandydatów. A to tembardziej, że obszerniejszy komitet 150 wybiera drugi komitet *ściślejszy* już z samych prawie redaktorów i ich współpracowników złożony, a zatem wszystko pójść musi po myśli dziennikarzy, którzy, pomimo wszelkich antagonizmów, łączą się w tej sprawie dla zapewnienia sobie samym wpływu na akcyę wyborczą. — Oczywistą więc jest rzeczą, że w czynnościach wyborczych nie biorą udziału właściwi wyborcy, ani ich mężowie zaufania, ale ci którzy za pomocą sztucznej nienaturalnej organizacyi, siebie samych na mężów zaufania narzucają.

*) Z tego wynika, że twierdzenie, jakoby p. Dobrzański nie wywierał wpływu na wybór komitetu 150., jest tylko częścią prawdy. P. Dobrzański nawet spać może spokojnie podczas tego wyboru — wie albowiem, że nikt inny tylko lista nieśmiertelnych 150, w jego drukarni wytłoczona i z jego zwolenników złożona, dostanie się do obszerniejszego komitetu.

Tak samo więc stało się i tym razem — i to tłumaczy sprzeczność między czynnościami przedwyborczemi a wynikiem wyborów. Dziennikarze zasiadłszy w komitecie ściślejszym, musieli koniecznie mieć na celu to, aby przez wybór posła zatwierdzić swą antidelegacyjną politykę. Pierwszy środek nasuwał się ten, aby znaleść wysokiego protektora, chorującego na chwilowe manie demokracyi. Znalazł się jeden książe, który przy całym konserwatyzmie rodowym, znany oddawna z tego, że czasem jak meteor błyśnie czerwonym ogniem, nie z zasady, ale tak sobie z pańskiej fantazyi.

Gdy temu choroba tylko list siarczysty przeciw delegacyi napisać pozwoliła, trzeba się było oglądnąć za kimś innym, ale niestety nikogo innego prócz *siebie samych* nie znaleźli! Ale że nie wypadało wyłącznie redaktorów podać na kandydatów, dodano sterotypową formułką kilka imion ludzi, którzy znani są na polu prac naukowych, ale z polityką nie mieli nigdy nic do roboty. Ci oczywiście zrezygnowali z proponowanej im godności — a tak pozostało tylko dwu redaktorów *Gazety Narodowej* i *Dziennika polskiego*. Sama ta propozycya była już doprowadzeniem wyborów *ad absurdum*. Redaktor *Dziennika* kandydatem na posła to wyskok niedorzeczności, policzek zadany poselskiej godności — ale trzeba było z dobrą miną przystąpić do tej komedyi, która rokowała nadzieję, że w braku innych kandydatów, wybrany zostanie redaktor, a więc przedstawiciel i wódz kampanii antidelegacyjnej, i tem samem kampania dziennikarzy pozornie otrzyma aprobatę wyborców.

Ogłoszono program polityczny, program negacyi, który oprócz wyroku potępienia na delegacyą, nie zawierał nic nowego ani dodatniego. Na podstawie tego programu rozprawiali przez kilka dni po kilka godzin redaktorowie przed kilkuset wyborcami. Powiedział p. Dobrzański „białe“ grzmiały huczne oklaski; powiedział p. Rewakowicz: „czarne“—znowu rzęsiste oklaski: powiedział p. Jolles: zielone“ wszystko o jednej i tej samej rzeczy — jeszcze raz posypały się oklaski. I cóż sądzić o politycznej dojrzałości takiego zgromadzenia, i czyż dziwić może, że przed takimi wyborcami odważa się stawać nawet p. Rewakowicz, i że na niem uchwalać można programy, jakie się tylko podoba?

Tymczasem zjawia się nagle p. Wolski z Wiednia i występuje jako kandydat, p. Rewakowicz pod pozorem uratowania dziennikarskiego wyboru * zrzeka się kandydatury na rzecz p. Dobrzańskiego.

*) Nie bez podstawy utrzymują, że p. Rewakowicz zrzeczeniem się swojem chciał zapobiedz rozstrzeleniu się głosów między nim, a p. Wolskim, a więc rezygnował w rzeczywistości na rzecz p. Wolskiego.

Przyszło do wyboru. Do urny stanęło 2366 wyborców, a więc zaledwie trzecia część! Wymowny to dowód, jak stolica, jak obywatele popierali dążności dziennikarzy. Z tych p. Dobrzański otrzymał głosów 1058! A więc we Lwowie całym tylu ma adherentów *Gazeta Narodowa*! Czyż to stolica, czy to kraj cały, o którym z taką pewnością *Gazeta Narodowa* twierdziła, że stanie na jej zawołanie?

Upadek p. Dobrzańskiego, pomimo że mu p. Rewakowicz swoje odstąpił głosy, przynajmniej pozornie, jest niezmiernej doniosłości. Pokazało się że *Gazeta* i *Dziennik* to nie naród, to nawet nie stolica — skoro wielu dla tego się usunęło, aby nie dać powodu do mniemania, że się łączą z dziennikarzami, a wielu głosowało na p. Wolskiego, aby obalić dziennikarza. Jest to *wotum nieufności* dla dzienników, daleko dotkliwsze aniżeli te, któremi oni *et consortes* tak szafowali już to dla p. Czerkawskiego, już to dla delegacyi. A *wotum nieufności* dla nich jest właśnie dowodem zaufania do tych, których przeciwnikami się ogłaszali t. j. dla delegacyi, która, acz milcząc raz zbłądziła, to jednak przemówiwszy dowiodła, że wojna kokosza dziennikarzy była wcale zbyteczną i bez żadnej podstawy.

Upadek p. Dobrzańskiego powinien być też zachętą dla ludzi konserwatywnych, aby się raz wzięli do pracy i położyli koniec dyktaturze opartej na 1058 głosach!

Wielcy poeci słowiańskich narodów.

I.

Aleksander Puszkin.

(Dokończenie.)

Poemat *Ewgenij Oniegin* rozpoczął Puszkin w r. 1874. Składa się on z trzech obszernych części i jest napisany w jambach zbudowanych znakomicie. W szeregu kreacyj wysnutych z Bajronowskiego ducha zajmuje *Ewgenij Oniegin* jedno z miejsc najprzedniejszych. Poeta sam przyznaje, że przed jego oczyma stoi w mglistych konturach postać angielskiego wieszcza, nie tak jak pokrewny Puszkinowi śpiewak Kaukazu, Lermontow, Bajronista od stóp do głowy, który z emfazą odpowiada krytykom swoim:

Nie jestem Bajron — jestem inny
Wybraniec, dotąd niewidziany. . .

Bo też epoka ta zdolna była wydać mnóstwo geniuszów o rozdartem sercu — ludzie ci o bladych obliczach a wulkanicznych piersiach, synowie różnych stref, narodów i społeczeństw, mieli wszyscy jeden temperament i jeden koloryt: w każdego piersi obok płomieni najwspanialszego zapału, pełzał jadowity gad zwątpienia i niewiary. I nie mogło być inaczej. Ludzie ci widzieli, jak strzaskaną została najwynioślejsza kolumna historyi, której na imię było Napoleon — z ostatnim dźwiękiem wielkiej tej epoki uwierzyli oni w zni-

komość wszech rzeczy ludzkich, a że przez obłoki ich smutku nie przedarły się święte promienie wiary, więc dumne te umysły zbudowały sobie ołtarze samoubóstwiania i stworzyły dla siebie świat osobny, których centrem byli oni sami. W innych znowu stronach upadek ojczyzny stał się źródłem bajronowskiej niewiary w sprawiedliwość Boską; po rozgromie Polski obok Mickiewicza, olbrzyma myśli i natchnienia, musiał powstać Słowacki, którego złotostrunny bardon nieraz brzmiał grzeszną skargą na Opatrzność.

Puszkin zaczął rzucać pierwsze zwrotki do *Oniegina* w wysokiem rozdrażnieniu. Ani w gronie dawnych swych druhów, ani na salonach arystokracyi nie znalazł on miru jak początkowo. Towarzysze młodości, ci z których łona wyszła konspiracya grudniowa, poczęli patrzeć chłodnem okiem na człowieka, który w swej piersi przytłumił gorące wołanie wolności, aby się nie narazić na mróz Syberyi lub żywe srebro Nerczyńska. W arystokratycznych znowu kołach niecierpiano Puszkina za jadowite kalambury i zazdroszczono mu jego sławy. Puszkin postanowił bladych przyjaciół lat młodzieńczych rozbroić, a na niechętnych Iwach wielkiego świata zemścić się. To jest genezą *Oniegina*. Bohaterem poematu jest — naturalnie sam Puszkin, podobnie jak Manfred i Lara mają oblicze Bajrona. *Oniegin* jest żywym, z niezrównaną wypukłością odbitym wizerunkiem autora — poemat jest autobiografią Puszkina. Ale w całej naturze Puszkina istniała od młodości dwoistość; był to człowiek o Janusowej twarzy: jedna mogła w okamgnieniu rozpromienić się w najświętszy zapał; druga zawsze miała cierpki uśmiech szyderstwa na ustach. Oniegin jest tym żółciowym, sardonicznym, Boga i ludzi wyzywającym Puszkinem; wyrazem zaś dobrych chwil poety jest drugi bohater powieści: Włodzimierz Lenski. Obie te postacie walczą ze sobą nieustannie, a ta walka stanowi psychiczne tło poematu. Przez całą obszerną skalę ludzkich porywów i namiętności prowadzi Puszkin obu tych bohaterów; Oniegin jest zawsze niezadowolony, chmurny, bez ideału i bez jutra — Lenski natomiast pełen wiary patrzy w przyszłość, a pełen miłości na ludzi. Lenski miał rozbroić tych dobrych synów Rosyi, którzy z niemą skargą witali poetę, Oniegin miał się zemścić na tym wielkim świecie, który drażnił gwałtownego i awanturniczego Puszkina na każdym kroku; autor „ody do wolności,“ bezwładny i skrępowany wobec caratu, miał swobodną rękę wobec tych martwych lub nadętych figur, posuwających się na szachownicy carskiej woli. Satyra Puszkina nieubłagana, posiada ona całą klasyczną pełnię Juwenala, chociaż niema jej wartości, bo nie smaga wielkich wad społecznych, a jeno rzuca się na osobistości. W Onieginie mnóstwo takich aluzyj do współczesnych osób, których Puszkin nie lubiał... Walka Oniegina z Leńskim kończy się zabiciem tego ostatniego w pojedynku, a powodem jest miłość do kobiety.

Ewgenij Oniegin wychodził pojedyńczemi pieśniami w jednem z pism współczesnych. Wrażenie było ogromne. Poemat był, jak powiedzieliśmy, moralną autobiografią poety, ale był zarówno obrazem całej ówczesnej młodzieży. Lepsza część tej młodzieży, ta która w głębi duszy wierzyła jeszcze w hasła szlachetniejsze, czytała w szczerych, gorącą miłością prawdy i cnoty natchnionych zwrotkach Leńskiego wyznanie własnej swej wiary. Ta znowu młodzież, dla której początkiem karyery moralnej była rozpusta a końcem przesyt, ujrzała w zblazowanym Onieginie tłumacza swych pragnień i poglądów. Autor widocznie sympatyzuje głównie z Onieginem; jeżeli bowiem jaką zwrotkę zaczyna uwagami od siebie, to z tych wierszy płyną gorycz i niezadowolenie, główne cechy Oniegina. Puszkin pisał najznakomitszy swój poemat w różnych chwilach, pod wpływem najrozmaitszych wrażeń, w kościelnej ciszy swego gabinetu zarówno jak przy zielonym stoliku w rozdrażnieniu po wielkiej przegranej. Całość naturalnie ucierpiała na tem; artyzm budowy słabnie, a główną forsę stanowią monologi żalu lub oburzenia.

W roku 1825 napisał Puszkin poemat *„Graf Nulin.“* Nulin ten ma wielkie podobieństwo do słynnego Rolli Alfreda Musseta. W roku 1829 wyszedł poemat narodowy *„Połtawa.“* w następnym zaś *„Angelo“* i *„Domik w Kołomnie.“*

W poemacie *Połtawa* dowiódł Puszkin, że potrafi także z epicznym spokojem opisywać sceny historyczne; celuje przytem naturalną dykcyą, bardzo korzystnie odbijającą od napuszystości heroicznych utworów dawnej szkoły. Pieśń ludowa znalazła w Puszkinie znakomitego wielbiciela: artystycznie nie wykończony motyw ludowej improwizacyi otrzymuje pod jego piórem formę doskonałą, nie tracąc nic na swej świeżości i bezpośredniości.

W dwóch jeszcze kierunkach próbował się ten pierwszorzędny talent Rosyi. W powieści i w historyi. Powieści jego, wydane pod pseudonimem „Iwan Biełkin“ odznaczają się szczególną plastyką przedstawienia. Krytyków rosyjskich zastanawia okoliczność, że Puszkin, którego *Ewgenij Oniegin* jest pełnym najsubjektywniejszego liryzmu, w powieściach swych nawet aż nadto unika tego żywiołu. Najlepszemi powieściami są *Pikowaja dama* i *Kapitanskaja doczka* (1833—34.)

Do historycznych badań zniewoliła Puszkina pensya 6000 rs., którą mu wyznaczył Mikołaj pod warunkiem, aby się oddał rozświecaniu przeszłości narodowej. Owocem tych studyów była monografia: *Istorya Pugaczewskawo bunta* (1834,) praca, którą już inni pisarze dawno prześcignęli.

Będąc w fałszywem położeniu pomiędzy caratem a wolnością, Puszkin to w namiętnych pieśniach godził się z ideałami młodości to znowu nastrajał swą lirę wedle nuty Mikołaja. W takiem usposobieniu napisał on słynny swój wiersz skierowany przeciw Polakom, w którym zapowiedział im zagładę w imię potwornej idei panrussyzmu. I człowiek ten, który dawniej marzył o zbrataniu ludów, który nienawidził brutalnej siły fizycznej, natchniony wielbiciel potęg umysłowych, człowiek ten właśnie fizyczną przewagą grozi Polakom, przykutym do cezarowego rydwanu Mikołaja. „Czyż mało nas?“ woła autor „ody do wolności,“ „czyliż od Permy do Taurydy, od chłodnych fińskich skał do płomiennej Kolchidy, lśniąc stalą, nie wstanie russka ziemia?“ A po tej prawdziwie generalskiej apostrofie znajdują się słowa, które się stały ewangelią dzisiejszych panslawistów. „Słowiańskie ruczaje zleją się w russkiem morzu“ — oto, co wieszcz Rosyi zapowiada Polakom i innym Słowianom. I nie może znieść żadnego oporu przeciw tej barbarzyńskiej ludobójczej zasadzie a w razie oporu grozi „krwawą zemstą.“ Więc wysyłajcie naprzeciwko nam rozsrożonych swych synów“ mówi Puszkin Polakom „jest dla nich miejsce na polach Rosyi, pośród nie cudzych im grobów.“ I czyż nie byliśmy świadkami, jak ten dziki hymn Puszkinowski wypisywał Murawiew na polskim narodzie; pieśń poety stała się hasłem dla krwawych prokonsulów Litwy, dla kniazia Czerkawskiego, rossyfikatora Polski, i dla żandarmów Chełmskiej gubernii.

Nigdy atoli horyzont tego zbłąkanego wieszcza nie był jasny i pogodny. Zawsze żył on w walce ze światem i ze sobą. Był to człowiek wielkich i niepohamowanych namiętności. Gra hazardowna pożerała mu spokój i majątek. W rzeczypospolitej literackiej nie był lubiany z powodu, iż z arystokratycznem lekceważeniem traktował towarzyszy pióra. Do tych wszystkich nieprzyjemności doliczyć należy stosunek jego familijny, który się stał tragedyą jego żywota. Puszkin był ożeniony z panną Natalią Gończarow, jedną z najpiękniejszych kobiet ówczesnych. Otoż zdarzyło się, że na salonach petersburskich pojawił się człowiek wielce ujmującej postaci, ale nieznanego pochodzenia, niejaki Dantes. Był to awanturnik, przybłąkany z Zachodu, jeden z tych rycerzy, których Mikołaj ubrał w szlify oficerskie, aby siali rozpustę między młodzieżą rosyjską, i odciągali umysły od poważniejszych zajęć. Dantes ten zapałał niepokonaną miłością do pani Puszkinowej. Na to tylko czekali liczni nieprzyjaciele poety. W krótce też stał się autor *Oniegina* przedmiotem złośliwych, wcale niedwuznacznych pocisków. Równocześnie okazało się, że rywal był naturalnym synem senatora Heckerena. Puszkin bolał srodze, podczas kiedy na salonach ojeliczne jego uczucie stało się powodem niezliczonych kalamburów. Niedługo wszakże ożenił się Dantes - Heckeren z siostrą Puszkinowej i zdawało się, że spokój zawitał do domowego ogniska poety. Tymczasem Dantes, zbliżony teraz przez familijny stosunek do swego ideału, nie przestawał prześladować Puszkina. Miłość jego do żony poety stała się wkrótce tajemnicą otwartą przed całym Petersburgiem. Życie dla Puszkina stało się nieznośnem i pozostawał tylko krwawy dylemat międ y nim a Dantesem. Dnia 25. Stycznia roku 1837 odbył się pojedynek między poetą a rywalem, najcelniejszym strzelcem stolicy. W pojedynku tym padł Puszkin, a w dwa dni potem skonał.

Śmierć Puszkina wywołało w całej Rosyi jeden okrzyk oburzenia. Konającemu poecie napisał Mikołaj następujący bilet: „Kochany druhu Aleksandrze! Jeżeli jest wolą niebios powołać cię do siebie, radzę ci rozstać się z tym światem po chrześcijańsku. O twoich sierotach będę miał należyte staranie.“ Na świeżej mogile tak przedwcześnie zgasłego poety znalazły się wszyscy synowie Rosyi, a anioł śmierci rozbroił nawet najzaciętszych jego nieprzyjaciół. Wszyscy winili awanturnika, który jednym strzałem odebrał Rosyi największego poetę, jej słowę i nadzieję. Pokrewny Puszkinowi duchem poeta Lermontow napisał wiersz pełen niewysłowionej boleści: „Poległ nasz wieszcz, niewolnik namiętności...“ i zażądał wyraźnie ukarania zabójcy Puszkina. Dantes zaledwie zdołał uciec za granicę... Ale taka już dola tych poetów rosyjskich. Ten sam Lermontow padł także w pojedynku w 27 roku swego życia, wyśpiewawszy Rosyi mnóstwo cudownych pieśni. Tak samo kilku innych. I nie mogło być inaczej. Zgniłe, zatrute powietrze caratu zrobiło z tych wzniosłych umysłów szaleńców albo aferzystów. W ojczyźnie swej, pośród tłumów oddychających ciężko przez zakneblowane usta, nie mogli oni być prorokami, więc szukali burzliwych wrażeń osobistych, albo gdzieś na dalekim Kaukazie rozmawiali ze skałami i z falą Tereku, aż tam znudzeni wrócili znowu do którego z Babilonów ludzkości, aby zmarniałemu swemu życiu położyć kres w pierwszej lepszej awanturze....

Jeżeli ostatecznie wypada nam zaznaczyć stanowisko Puszkina w hierarchii literackiej, to przyznać należy, że w piśmiennictwie rosyjskiem stanowi on epokę, i to jedną z epok zwrotowych. Wissarion Bieliński, najznakomitszy krytyk rosyjski, pierwszy rozebrał umiejętnie umysłową organizacyę jego i ocenił pióro, które napisało „Ruslana i Ludmiłę“ i „Ewgenija Oniegina“. Puszkin obalił ortodoksyę dawnej szkoły, a chociaż w jego pieśni odzywa się jeszcze tu i owdzie pobrzęk nuty klasycznej, to żywe przejęcie się poezyą ludu wlało w jego utwory całe ciepło i całą niezrównaną świeżość zdrowego romantyzmu. Narodowym wszakże wieszczem w najszlachetniejszem słowa znaczeniu Puszkin nie jest i nie mógł nim być człowiek, który oszołomiony złotem i marmurem carskiego pałacu zapomniał o braciach swych gnijących w zatrutej twierdzy Petropawłowska. Narodowym wieszczem był nasz nieśmiertelny Krasiński, co wydawał dla Polski swej ukochanej jedyno-zbawcze hasła odrodzenia, narodowym był nawet Szewczenko, co w wilgotnej swej katordze nad Aralem rysował na ponurem tle pogorzeli jaskrawe obrazy dawnej Ukrainy. Ale narodowym nie był Puszkin, nie był on wyrazem pragnień lepszej części współczesnej sobie generacyi, nie zdołał on pojawić się w kazamacie Mikołajowskiej wśród zakutych swych braci jako natchniony ewangielista lepszej przyszłości — nie był apostołem ten przez Boga, licznemi talentami obdarzony człowiek, bo do apostolstwa brakowało mu przedewszystkiem wiary w prawdę i ofiary ze siebie, brakowało mu namaszczenia idei i namaszczenia męczeństwa....

Jeżeli zaś, sądząc wedle miary europejskiej, wedle treści filozoficznej, porównamy Puszkina n. prz. z naszym Mickiewiczem, to poeta rosyjski wyjdzie z tej obserwacyi nieskończenie mniejszy. Mickiewicz znachodzi najpiękniejsze źródło dla swych utworów w silnej wierze w Boga i w Opatrzność, a jeżeli gdzie na złotych skrzydłach improwizacyi sięga aż do apoteozy człowieka, to czyni to w sposób najszlachetniejszy, to porywając serca ludzkie wspaniałemi obrazami ludzkiej potęgi, staje się kapłanem najwyższej moralności i uczy kochać Boga i ludzi. Jakżeż nikłym wobec tej niezrównanej filozofii Mickiewiczowskiej jest Puszkin, ubóstwiający siebie i swoje namiętności! Wielki nasz Adam nigdy nie widzi siebie; on czuje i myśli za miliony; „milion się zowię“ powiada. Puszkin obojętny dla wielkiej masy i patrzy na nią nie z arystokratycznym spokojem Horacyusza, ale okiem wszystkich tych desperatów, którzy, nie widząc Boga w ludzkości, nie mają dla niej innego czucia prócz czczej wzgardy.

„Kto żył i myślał — o, ten musi
Pogardzać w głębi duszy ludźmi....

tak śpiewa Ewgenij Oniegin i taką jest filozofia życia Puszkina. Zapewne, że nie mógł uwielbiać swego otoczenia złożonego z ciemnych bałwochwalców caratu, — ale że nie olśnił ich błyskawicami nowych haseł, nie porwał za sobą potęgą swobodnej pieśni, nie uszlachetnił i dusz ich nie zbawił, budując uroczystą świątynię prawdy narodowej, więc Rosya czci wprawdzie w Puszkinie pierwszego swego poetę, ale jej wieszcz, jej kapłan poetyczny pokaże się może dopiero w przyszłości...

A. D.

Wiara, Nadzieja i Miłość.

POWIEŚĆ Z EPOKI TERRORYZMU

z angielskiego tłumaczył X. . . . .

(Dokończenie).

Rozdział LI.

Konstancya Vernon i Marya Sommers.

Czas nam powrócić do Maryi Sommers — dziecka nadziei. Ze zmianą stosunków majątkowych ojca, stało się nader przykrem obecne jej położenie. Mr. Sommers, jak każdy anglik na jego miejscu, przylgnął zbytecznie do swego stanowiska jako zamożny kupiec. Dla niego spokój bez troski, komfort, przepych i okazałość na zewnątrz były koniecznymi warunkami do szczęścia. Musiało to więc drażnić jego miłość własną i napawać go żółcią, gdy mu przyszło opuścić wystawny dom, liczny zastęp sług, — zgoła wyrzec się swego świetnego stanowiska, nie było jednak żadnej na to rady, a jedyną ulgą w tem smutnem położeniu. było dlań pełne miłości zachowanie się anielskiej jego córki. Z ust jej nie wyszło nigdy żadne słowo, w którem chociażby z daleka, przebijał się wyrzut; owszem z całą usilnością starała się ona rozprószyć czarne myśli ojca, rozwiać troski pochodzące z zawiedzionych nadziei.

Nowy dom, który, wśród warunków teraźniejszego ubóstwa urządziła z przemyślnością właściwą kobiecie, zdawał się być rajem na ziemi. Dawni jej znajomi dziwili się niepomału, jak to dziecię, wypieszczone wśród dostatków i wygód, znosiło z uśmiechem na ustach — ubóstwo i niedostatek. Byli to ludzie, którzy sądzą rzeczy z powierzchowności, nie patrząc głębiej. Konstancya Vernon patrzała innem okiem na swą przyjaciółkę: — dla niej rezygnacya ta była dowodem wpływu łaski bożej, która cuda działa w sercach ludzkich, nie mniej wytłumaczeniem, dlaczego Bóg obdarzył to piękne dziecię cnotą Nadziei. Widzieliśmy już, jak ta jasna cnota przewodniczyła Maryi wśród najtrudniejszych okoliczności życia. A czemże była teraźniejsza utrata materyalnego bytu, w obec dawniejszej obawy, że Henryk Clifford stanie się może niegodnym jej miłości? Po szczęśliwej zmianie jego obyczajów nie miała do jej serca przystępu żadna obawa ani zwątpienie w opatrzność. Nadzieja nie opuściła jej odtąd ani na chwilę.

Jakkolwiekbądź, duma wrodzona Maryi była draśniętą cokolwiek postępkiem Henryka, który, po rozejściu się wieści o upadku majątkowym ojca, nie pospieszył natychmiast z wyrażeniem swego ubolewania i odnowieniem swych niezmiennych uczuć; co według jej mniemania powinien był dawno uczynić. Gdy dnie mnożyły się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, a od Henryka nie było żadnej wiadomości, zdawało się rozdrażnionemu kupcowi, że córka jego została wzgardzoną: — pragnąc więc pogodzić ją z tą nową koniecznością, nie opuszczał żadnej sposobności, objawienia swego oburzenia i wzgardy dla Clifforda.

Marya znosiła wszystko ze spokojem i w milczeniu. Może w chwilach kiedy żadne ludzkie oko, prócz wszystkowidzącej Opatrzności, nie było zwrócone na nią, potoczyła się z oczu jej jaka przelotna łza, a na ustach jej zawisł chwilowo wyraz boleści, — jednakże oznaki te wewnętrznego wzruszenia nie miały świadkiem żadnej żyjącej istoty. Pomimo wszelkiego rodzaju wycieczek jej ojca przeciw Cliffordowi, nie przestała Marya wierzyć w jego honor, — wierzyła mu. Pocieszała się zawsze myślą, że z powrotem w rodzinne strony potrafi zmyć ze siebie winę chwilowego jej zaniedbania. „Zresztą“ — mawiała często do siebie — żadne prawo — nie przysługuje mi ganić go z tego powodu, owszem dobrowolnie powinnabym dziś wyrzec się wszelkich praw do jego uczucia“. — Podobne myśli jednakże nie trapiły jej uporczywie; znikały na wspomnienie o gorącej Henryka miłości, której dowodem była zmiana obyczajów i chęć jego przypodobania się Maryi przez szlachetne czyny.

Konstancya Vernon, była jedyną istotą, która odgadywała smutki i radości przyjaciółki.

Na pierwszą wiadomość o nieszczęściu ojca, w skutek którego nie pozostawało im nawet tyle, aby z tego opędzać można było codzienne potrzeby życia, pospieszyła natychmiast z ofiarą dzielenia z nimi wszystkiego czem rozporządzać mogła. Marya pomimo próśb i zaklęć nie przyjęła tej ofiary, odpowiedź jej była godną jej czystego i nieposzlakowanego charakteru.

— Droga Konstancyo — rzekła Marya, obejmując ramionami swą przyjaciółkę — nie uwierzysz jak głęboko czuję twą dobroć. Jeżeli mam ci rzec prawdę i jeżeli to w ogóle jest możliwem, kocham cię w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek: przyznasz jednak, że ofiary twej przyjąć nie mogę. —

— Nie pojmuję, dlaczego, Maryo. Wiesz przecież że prócz ciebie nie mam nikogo, kogobym kochać, dla którego żyć bym musiała. Bądźże dla mnie siostrą i pozwól mi dzielić z tobą, co mam. W obec mnie, duma byłaby nie na miejscu.

— Nie o mnie tu chodzi, ja sama przyjęłabym chętnie twoją ofiarę, lecz wstrzymuje mnie wzgląd na ojca, który uczułby w całej pełni gorycz teraźniejszego położenia naszego, a przyznasz że nie wypada, abym ja dała mu to uczuć.

— Nie rozumię cię, Maryo.

— Wytłumaczę ci to. Ojca mego utrzymuje jeszcze to przekonanie, że to, co nas otacza, jest jego własnością. Otoż przyjmując coś od obcych, uczułby dopiero że jest w całem znaczeniu ubogim: w takim stanie nie śmiałby podnieść oczu na nikogo: i ja, córka jego, miałażbym pomnażać ciernie któremi zasłaną jest droga jego życia? Nie. Będę na niego pracować, użyję wszelkich środków do zaspokojenia niezbędnych potrzeb, ale nie dotknę się nawet darów, chociażby przywracały nas napowrót do dawnego stanowiska, aby nie zadawać ojcu jeszcze głębszej rany i stawiać go w tem położeniu, żeby siwą głowę swoją zgiąć musiał przed kimkolwiek z uczuciem zobowiązania. Przebacz więc Konstancyo, jeżeli postępowanie moje zdaje się być lekceważeniem twojej dobroci; lecz sądzę że ty mię zrozumieć powinnaś, a jeżeli się nie mylę, to i ganić mię nie będziesz.

— Ganić cię, za twoją czystą i bezinteresowną miłość? Podziwiam cię raczej, a jeżeli dziś pozbawioną jest sposobu przyniesienia ci pomocy, zastrzegam sobie na przyszłość wynagrodzić twoje dzisiejsze zaparcie się siebie.

— O nie dawaj wiele na moje zaparcie się; czuję bowiem w sobie aż nadto egoizmu. Zdaje się jakobym ojcu memu czynami udowodnić chciała, że we mnie żyje duch jego.

Jednakże muszę ci wyznać, że w teraźniejszych okolicznościach obudziło się we mnie pragnienie zmiany dotychczasowego postępowania mego. Sprzykrzyło mi się życie ustawicznych zabaw i rozrywek; pragnę zatrudnić się czemś poważniejszem, być pożyteczną dla drugich; — słowem stać się tobie podobną. Gdy się zastanowię nad tem, jak odmiennem było me życie od twego, jak wiele uroniłam okazyj zasłużenia sobie tej nagrody, która czeka twoje poświęcenie się dla bliźnich, — sama przed sobą zapłonić się muszę.

— Przestań Maryo; nie znasz bowiem mych grzechów, które nie dadzą się zmyć uczynkami mojemi. Zresztą nie każdemu udziela Stwórca tych samych upodobań. Mnie raczył natchnąć miłością dla bliźnich, która jest dla mnie pociechą w smutkach, jakie zachmurzyły pierwszy zaraz ranek mego żywota. Istotnie też od niepamiętnego czasu nie zaznałam innej pociechy, nad wdzięczny uśmiech moich biednych ubogich i chorych.

— Jesteś aniołem, Konstancyo.

— Nie, kochanie, jestem tylko słabą, bolejącą kobietą. Za uczynki moje nie przypisuję sobie żadnej zasługi, bo wykonuję je bez wysilenia, bez zaprzenia siebie; są one mi łatwe. Ty na przykład, wyrzekając się uciech światowych, masz w tem zasługę, gdy przeciwnie ja, dla której takowe są nieznośnemi, nie zasługuję na żadne pochwały, jeżeli wyrzekam się świata i szukam dawno upragnionej przystani.

— Droga Konstancyo, wytłumacz mi jaśniej twoją zagadkową mowę. —

— Konstancya uśmiechnęła się, ścisnęła rękę przyjaciółki, nie było jednak żadnej odpowiedzi.

— Więc taisz przedemną — wyrzucała Marya — domyślam się zresztą o co chodzi; lecz to jeszcze za wcześnie. Zostań jeszcze jakiś czas przynajmniej na świecie i bądź przewodniczką twojej przyjaciółki. Czuję że siły opuszczą mię, gdy mi ciebie zabraknie.

— Moja droga Maryo, niezadługo wcale ci potrzebną nie będę; znajdziesz bowiem przewodnika pewniejszego i godniejszego odemnie.

Rumieniec oblał piękną twarzyczkę Maryi. „Nie wiem“— rzekła cichym głosem.

Rozdział LII.

Powrót narzeczonego.

Pięć miesięcy upłynęło od czasu bankructwa Mr. Sommersa. Akcye hiszpańskie podnosiły się stopniowo i obiecywały posiadaczom znaczne zyski. Można więc sobie wyobrazić radość ojca, na myśl że wkrótce córka jego zajmie nanowo to stanowisko, jakie się jej pod każdym względem należało. O Cliffordzie wyrażał się z przekąsem. „Człowiek, który wzgardził mem dzieckiem ubogiem, nie będzie nigdy mężem bogatej spadkobierczyni mojej“. Rychło jednakże przekonał się Mr. Sommers, że zamiast być twórcą szczęścia swej córki, zniszczyłby je w zarodzie, gdyby chciał pozostać wiernym temu postanowieniu. —

Budując zamki przyszłego szczęścia w powietrzu, drżał on równocześnie nauczony doświadczeniem, by znowu jaka nieprzywidziana okoliczność nie rozwiała tych obrazów przyszłości. Marya cieszyła się o tyle tą szczęśliwą zmianą, o ile to dotyczyło ojca i czyniło go szczęśliwym. Obojętność Henryka zatruwała jej serce. Pozornie była wesołą, lecz kto się jej bliżej przypatrzył, nie mógł nie dostrzedz, że jasny szafir jej oczu nie jaśniał tem samem światłem jak dawniej. Pewnego dnia siedziała Marya w swej skromnej izdebce, gdy jej oznajmiono przybycie gościa.

Po chwili wszedł Henryk Clifford. Twarz miał nadzwyczaj bladą, a prawą rękę zawieszoną na temblaku.

— Droga Maryo, przebacz mi pozorne zaniedbanie moje, byłem.....

Lecz Marya nie słyszała dalszych słów — zemdlała. Gdy przyszła do siebie, ojciec z Cliffordem czuwali u boku jej. W tej samej chwili, gdy już minęło pierwsze wrażenie, zwrócił się Mr. Sommers z gniewnym wyrazem ku Henrykowi i zapytał go cierpko, jak śmiał wciskać się jeszcze do jego domu.

— Pan mi wyrządzasz krzywdę, w sposób którego panu kiedyś żałować przyjdzie. Do dnia dzisiejszego bowiem, nie wiedziałem nic o pańskiem nieszczęściu, w przeciwnym bowiem razie nie omieszkałbym był natychmiast pospieszyć z oświadczeniem, że Marya droższą mi jest w ubóstwie aniżeli w dostatkach. Poczuwając się do tego długu względem twej córki, panie, pragnąłbym dziś spłacić takowy chociaż w części. O przebacz mi panie. Zostałem ranionym i jako taki dostałem się do niewoli, w której przez trzy miesiące zostawałem. Nie pozbawiaj mię tego szczęścia, którego sama nadzieja podtrzymywała me życie wśród cierpień jakie znosić musiałem.

— Czy jeszcze jesteś cierpiącym Henryku? — zapytała z czułością Marya.

— Nie, najdroższa, już prawie wyleczony jestem, a sądzę, że więcej takich słów, jak te które w tej chwili od ciebie słyszałem, nie tylko przywróciłyby mi w zupełności zdrowie, ale nadto pozwoliły zapomnieć na wszystkie rany, bole uwięzienia i co jeszcze przecierpieć musiałem.

Jak się pan wydostałeś z niewoli? — zapytał Mr. Sommers cokolwiek odobruchany; z tonu jednakże w jakim postawił to pytanie, przebijał się zawsze jeszcze pewien cień obrażonej dumy anglika.

Długo jeszcze musiałbym był czekać na moje wybawienie, skoro wyżsi odemnie oficerowie dotychczas zapełniają więzienia francuskie, gdyby nie jenerał Barron, ten sam, do którego przed kilku miesiącami pisał pański przyjaciel. Dowiedziawszy się o mnie, natychmiast wyrobił moje uwolnienie, przyjął mię do swego domu, gdzie kilka tygodni przepędziłem, a widząc że mi się spieszy do ojczyzny, ułatwił mi moją podróż do Londynu.

— Czy ożenił się — wtrąciła Marya na pół obojętnie.

— Cieszy mię, że mogę twierdzącą dać ci odpowiedź — odparł żartobliwym tonem Henryk — istotnie jest to tak przystojny mężczyzna, że w razie przeciwnym, drżałbym bojąc się utracić moje jedyne szczęście. Ojciec żony jego, jeżeli się nie mylę, jest wasz przyjaciel, o którym wspominałem. Od niego mam listy do Mr. Sommersa.

— A więc nie omyliłam się — zawołała radośnie Marya — wybawcą twoim jest Franciszek Barron, a jego żoną anielskie dziecię Rebeka Benimen.

Rozdział LIII.

Więcej jak sześć lat upłynęło od wypadków opowiedzianych w poprzedzających rozdziałach. Francya używa pokoju, ale każde usiłowanie jej pozostania republikańską okazało się daremnem.

Miło mi powołać na tem miejscu wielkiego cesarza Napoleona Bonapartego. Nie przeczę, że podlegał on błędom właściwym każdej ziemskiej wielkości, ale wyznać należy, że dla Francyi uczynił on to, czemuby nie podołała była żadna inna ręka: wydobył on ją z tej przepaści, w którą wtrąciły ją zbrodnie Konwencyi. Duma jego, — cokolwiek bądź dałoby się przeciw niej powiedzieć — zatknęła na nowo obalony sztandar Religii na ziemi francuskiej; a jego sława, której światła nie mogą znieść jego wrogowie, uwieczniła imię Francyi na zawsze.

Był to dzień Wniebowzięcia, dzień czczony w szczególniejszy sposób w katolickich krajach. W kościele Maryi Magdaleny miał tego dnia kazanie sławny kaznodzieja, którego wymowa wycisnęła łzy w oczach wszystkich słuchaczy. —Mówił o łaskach, które Królowa niebios wyjednała dla Francyi i wzywał wszystkich obecnych, aby uciekali się do Niej z prośbami swemi, zwłaszcza tego dnia, w którym żadna prośba odrzuconą nie będzie.

Do najgorliwszych słuchaczy należała młoda para mężczyzna i kobieta, — oboje obdarzeni w wysokim stopniu darem urody. Oczy ich od czasu do czasu zwracały się ku sobie, jakby pragnęły wyczytać wzajemną sympatyą. Młoda kobieta spoglądała niekiedy ku mężczyźnie podeszłego wieku, który odpowiadał jej wzrokiem najtkliwszej miłości. Był to Izaak Benimen. Opodal nich stała inna grupa trojga ludzi zajętych w równym stopniu nabożeństwem. Dalej za nimi, zauważyć było można dwie postacie niewieście. Po stroju poznałeś odrazu, że to dwa anioły zesłane dla ulżenia cierpiącej ludzkości: — były to dwie Siostry Miłosierdzia. Jedna z nich jeszcze młoda i o ile pozwalał dostrzedz skromny welon zakonny zachwycającej piękności, która dziś jaśniała przejrzystszem światłem, aniżeli wówczas, kiedy była przedmiotem uwielbiań licznych adoratorów. Druga z nich była kiedyś pięknością, po której został jedynie wyraz słodyczy, okraszony odcieniem rezygnacyi. Lica poorane zmarszczkami, nadawały jej podobieństwo pokutującej Magdaleny.

Po skończonem nabożeństwie lud opuszcza świątynię. Grupy opisane wyżej łączą się ze sobą, zamieniając słowa pozdrowienia i przyjaźni. Obok siebie stoją w tej chwili. Rebeka, żona Franciszka Barrona; Marya, towarzyszka życia Henryka Clifforda; i Konstancya Vernon oblubienica Chrystusa. Wiara, Nadzieja i Miłość wycisnęły na zawsze swe piętno na twarzach naszych bohaterek i przebijały się też we wszystkich ich uczynkach. Pierwsze dwie spełniają swe obowiązki z radością jako szczęśliwe żony i matki, ostatnia powołaniem swojem zakonnem stała się w całem znaczeniu pocieszycielką bliźnich swoich w ich smutkach i niedoli. U boku jej, natchniona jej cnotą, pracuje *Madame Marie* dokonując cudów w nowem swem powołaniu. Nie minie dzień, aby owczarnia Chrystusowa nie pomnożyła się o jakąś owieczkę nawróconą za jej staraniem!...

KONIEC.

Rok Kanossy.

Dalecy jesteśmy od tego, by pewnym liczbom złowrogie przypisywać znaczenie i wysnuwać z tychże marę postrachu, albo też czcze na przyszłość wróżby, atoli w tym do końca już się chylącym roku 1877, który dla nadzwyczajnych i nieprzewidzianych wypadków staje się wielkim w historyi, nasuwają się mimowoli na myśl lata: 1077, 1177, i 1777, które o ile były dla koronowanych i niekoronowanych nieprzyjaciół Kościoła złowrogimi, o tyle chwałą jaśniejszą i wielkością, jaką okolon bywała owczarnia Chrystusowa. Podobieństwo to nadzwyczajne, upoważnia nas przejrzeć nieco karty historyi tych zewnętrznym znakiem a wewnętrznym ustrojem upodobnionych wypadków, by się przekonać, że ludzkość cała, „której dzieje są szkołą duchów“, i „mistrzynią życia“, jak niezrównany nasz Krasiński w psalmie wiary się wyraża, że narody pojedyncze, — nie mówiąc już o Kościele katolickim siłą Bożą wśród tylu ruin i tylu napadów wewnętrznych i zewnętrznych cudownie utrzymywanym, — nie są rzucone na łaskę lub niełaskę ślepego losu, lub na ironią przypadku, że historya nie jest zbiorem bajek, ale że wypadki kreślone często piórem w krwi i łzach milionów zwilżanem, ulegają kierownictwu ręki Najświętszego, na którego szacie jest napisane „Król nad królami i Pan nad Pany“ (Objaw 19. 16.), a którego sprawiedliwość, o ile jest długo cierpliwą, o tyle też jest, używając słów ludzkich, i mściwą.

Było to roku 1077. Henryk IV. monarcha wedle mody naszych pseudo-liberałów, niezadowolony cesarską koroną rzymską-niemiecką, sięga ręką swą i po tiarę. Bez praw majowych i bez ukazów rządzi biskupami i prałatami, samowolnie używając ich do złych swoich celów, a depcąc bezprawnie choć nie bezkarnie prawa przyrodzone i Boże, stara się utworzyć kościół narodowy, służebniczy, według dzisiejszej mody carskiego prawosławia, a na stolicach biskupich, na katedrach i ambonach osadzić podległych i najuniżeńszych służalców swoich. Cel jedyny rządów jego to tyrania nad majątkiem, tyrania nad sumieniem, wolnością i osobami poddanych — Z drugiej zaś strony na skale Piotrowej stoi silny jako opoka, czysty jak kropla rosy, w której przegląda się promieniem swym złotym wschodzące słońce, Wielki Grzegorz VII., obrońca zdeptanych praw Bożych, starganych i znieważonych przepisów i wyroków kościelnych, odnowiciel upadłych obyczajów i godności; mąż, którego najwierniejszy owych czasów historyk *Lambert* z Aschaffenburga nazywa „*Virum sacris litteris eruditissimum et omnium virtutum genere celeberrimum*“; Papież, którego *Fleury* nie lubiący chwalić Papieżów nazywa: „człowiekiem cnotliwym, wychowanym w najsurowszej zakonnej karności i pełnym gorliwych dążności ku oczyszczeniu Kościoła z błędów, a mianowicie z świętokupstwa i niewstrzęmieźliwości“. Zawrzała walka, szatan i anioł w zapasach. Ale jak niegdyś tak i w tej walce zabrzmiał w uszach Henryka głos wyroku nieodmiennego: „*Usque huc*“! „aż póty przyjdziesz, a dalej nie postąpisz, i tu rozbijesz nadęte wały twoje.“ (Job. 38. 11). Opatrzność bowiem jest równoważąca. Ztąd też gdy człowiek prawy do zamierzonego celu dochodzi, człowiek przewrotnych obyczajów, skoro się miara występków przepełni, znajduje w swych krętych wybiegach własną swą zgubę. Spotkało to i Henryka IV. Opuszczony przez książąt, którzy w szczęściu siadali u stołu jego i z jego pijali kielicha, został przez nich na sejmie w Forheim r. 1077 od tronu odsą-

dzony. Co więcej wszelkie przesmyki i drogi do Włoch prowadzące zamknięto, a znienawidzony przez wszystkich Henryk musiał pokryjomu w towarzystwie żony, synka i jednego sługi biedz do Kanossy. r. 1077., do stóp Grzegorza VII. „*Ecce parturiit injustitiam et incidit in foveam, quam fecit*“. (J. 7).

Lecz zkąd się to bierze, nawiasem pytając, że historycy niektórzy takie żale wywodzą nad nieszczęściem Henryka? Bo oni nad zbrodnią zwykli się litować a cnotę wyszydzać, nie pomni słów Plutona, że moralność jest ostatecznym celem wszelkiej umiejętności, bo „głupcom tym sprawiedliwość ni mądrość nieznana“ (Odyssea pieśń II). Inaczej trudno sobie wytłumaczyć ich wyrażenia się, jeżeli przypuścimy, że znają Henryka IV. jako monarchę, jako męża i jako ojca, że znanem im jest wyznanie nieszczęśliwej i do rozpaczy przywiedzionej Praksedy w obec Soboru, że znanem jest im coś o życiu jego zakulisowem, o postępowaniu z żoną, i dziećmi, jednem słowem, jeżeli pobieżnie przynajmniej przeczytali źródła, odnoszące się do Henryka IV. Ale kto dziś pyta z tych fabrykantów historyi o prawdę!

* * *

Sto lat później roku 1177 staje się Wenecya drugą Kanossą. Pyszny cesarz niemiecki Frydryk I. Rudobrody, przed którego potęgą „ziemia umilkła“, staje w szranki z papieżem Aleksandrem III. „Nie pójdziem do Kanossy“ myślał zapewne ten imperator, którego władza była nie do zmożenia, a którego berłu ulegały narody od Baltyku aż do Tybru. Stąd też na polach Ronkalskich, jakby urągając prawom i własnej przysiędze, znosi prawa kościelne, pozbawia narody praw własnych i przywilejów wiekami uświęconych, a cesarską władzę uprawnia u szczytu samych nawet nadużyć. Mało mu tego, on burzy i do szczętu niszczy starożytny gród Medyolanu i to w tak dziki i nieludzki sposób, iż można śmiało zastosować do niego słowa Atylli: „Trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci“. Pustoszy ogniem i mieczem Włochy, beneficya duchowne sprzedaje, „czyniąc jawnie z rzeczy świętych symoniackie kramarstwo“ jak się wyraża o nim historyk Mainbourg, legalizuje nałożnictwa gorszące, w końcu obiera antipapę Wiktora IV., a po tegoż śmierci Paschala III. wywołując w łonie Kościoła 17 lat trwającą schyzmę, a prawowitego papieża Aleksandra III. zmusza do szukania we Francyi schronienia i dachu. Jednem słowem *per fas et nefas* dąży, by cesarz rządził papieżem a przez papieża światem. Ale zawiódł się i on w rachubach swoich, bo wszyscy, którzy uderzają na opokę „obrażą się, i powalą się, i starci będą i usidleni będą i pojmani będą“ (Izaj. VIII. 15). W chwili bowiem gdy najmniej tego mógł się spodziewać, gdy stojąc u szczytu potęgi swej został koronowany wraz z swą małżonką przez antypapę Paschala III., a pełen szczęścia i zadowolenia pewnym był, że nie masz na ziemi, ktoby mu się oprzeć zdołał; zsyła Bóg zarazę, dziesiątkuje jego armię, a nieco później zadaje mu tak straszną klęskę pod Leguano r. 1176., iż nic innego mu nie pozostało, jak na owym sławnym zjedzie w Wenecyi *r. 1177* upaść do nóg znienawidzonego Aleksandra i o miłosierdzie, przebaczenie i o pokój prosić. „*Et nunc reges intelligite*“

* * *

I znów minęło dużo lat, nim nadszedł trzeci bliźniak *r. 1777*. Występuje nowy zapaśnik, nowy *kulturkämpfer* do walki z Kościołem. To Pombal, wszechwładny minister portugalski. Ostrożniejszy od poprzedników, chociaż tą samą co i oni nucił piosnkę: „nie pójdziem do Kanossy“, zaczyna walkę z papiestwem, ale pośrednio. Rozpoczyna bowiem działalność swoję od srożenia i znęcania się nad Jezuitami, tą przednią Kościoła strażą. Wzdryga się uczucie ludzkie na to nieludzkie postępowanie z członkami zakonu Jezusowego. Pchano ich bez litości jako towar na dno okrętów, bez wody i chleba, i nagich a długiem więzieniem wyniszczonych, wyrzucano na brzegi Włoskie. Szatan byłby się ulitował ich nędzy, ale Pombal, ów Bismarka ideał, nie miał serca, nie znał co to litość. Lecz jemu o Jezuitów nie chodziło, on nie był ich nieprzyjacielem bezpośrednio; on chciał dokuczyć Papieżowi, on walczył z Kościołem.

Uprzątnąwszy się z Jezuitami, odstawia do granicy pod konwojem żołnierzy Nuncyusza apostolskiego, a Biskupa z Coimbry więzi za to jedynie, iż wydał zakaz czytania pism Voltaira. Walka wre bez wytchnienia, bo Pombal nie zazasypiał, ale coraz to nowe ciosy wymierzał na Kościół. Lecz Anioł Mściciel nie zapomniał o nim, ale jak ongi tak i wtenczas nakreślił na ścianach pałacu jego te złowrogie wyrazy: „Mane, thekel, phares“. Umiera bowiem r. 1775 Józef I., a ze śmiercią niedołężnego monarchy kończy się i władza Pombala. Co więcej! Na rozkaz Maryi I. córki Józefa Pombal stawiony przed sądem najwyższym *r. 1777* zostaje za swe nadużycia jako zbrodniarz i gwałciciel praw na śmierć skazany, i tylko ze względu na wiek podeszły ułaskawiono go i na wygnanie skazana, gdzie bez czci i współczucia zakończył swój wieczny żywot.

A teraźniejszy rok 1877 czyż nie jest rokiem tryumfu Kościoła i zwycięstwa nad niedowiarstwem? Herezya, fałszywa filozofia z sztuką fałszywą, obłudna dyplomacya z socyalizmem bezwyznaniowym, łączą się razem i w karności swojej zrywają się na Kościół Boży na każdem możliwej działalności polu. Rozgorączkowana część ludzkości odpadła od Kościoła, t. j. niedowiarstwo, owo najstarsze reformy dziecko, jak je trafnie hr. Maistre zowie, które odziedziczyło wszystkie namiętności swej matki, rzuca się zapalona śmiertelną nienawiścią w swym ślepym szale na Oblubienicę Bożą, by ją zgubić i zadławić. I cóż czyż Kościół zmogli, czy tron Piotra zachwiali? Nietylko że zawód ich spotkał, ale i walką swą zaciętą wywołali reakcyą, której jednym z tysiąca skutkiem była owa sławna wszystkich narodów i państw całego świata pielgrzymka do grobów Apostolskich, owe ciche armie, które roku *1877* bezustannie garnęły się do stóp Piotrowych, by tym tak wielkiej doniosłości czynem stwierdzić swą wiarę w niespożytość Kościoła Jezusowego. Ztąd też allokucya Ojca św. miana na dniu 22 czerwca b. r. zostanie dowodem historycznym i nauką dla wszystkich tych, którzy powtarzają sobie „Nie pójdziem do Kanossy“. Bo takiego widowiska świetnego dla świata, aniołów i ludzi, jakie przedstawiają pielgrzymki tegoroczne do Rzymu, świat jeszcze nie widział. „Wierni wszystkich języków i wszystkich narodów, wszystkich stanów, wieku i płci z najodleglejszych okolic przysyłali i przywozili obfitą i hojną pomoc, przysyłali i przynosili podarki znamienite liczbą, rozmaitością, ozdobami sztuki i wartości“.

„Bo Kościół katolicki, jak wypowiedział Wielki Pius IX., tylekrotnie niesprawiedliwie i gwałtownie napastowany i wszelkiej zewnętrznej pomocy pozbawiony, ale nigdy nie przemożony ani zwyciężony, raczej zawsze znoszący ze stałością trudy

walki i rosnący coraz bardziej w siły ma swój korzeń wniebie i żyje żywotem Boskim i nieśmiertelnym".

A gdy Kościół i Pius IX. te świetne obchodzi tryumfy, co się dzieje u ich wrogów. Najstarszy gnębiciel wiernych, ten który śmiał wyrzec „katolicyzm to rewolucya" — a który krwią męczeńską zbroczony pozował na oswobodziciela ludów, ntracił jedyny, jakim się otaczał, blask militarnej siły, który się nie da odzyskać nawet wzięciem Karsu i Plewny. Urok jedyny Moskala, jeśli urokiem jest brutalna siła, legł w grobie, pogrzebany w okopach Plewny.

U Prusaka nie lepiej. Ten który dumnie wyrzekł: Nie pójdziemy do Kanossy, kto wie czy jej nie znajdzie w swoim Warzinie z którego patrzeć musi jak jego roboty mnożą nędzę i ubóstwo i niezadowolnienie w kraju, jak okrom garstki okopionych służalców, cały świat szle za nim do Warzinu złorzeczenia i przekleństwa....

Dziwne są drogi Opatrzności — a są to dopiero początki boleści .. nie chcemy twierdzić, że wyrok na prześladowców Kościoła już wydany, dosyć zaznaczyć, że śledztwo już rozpoczęte . .

Ks. Adam Kopyciński.

Adres czterech redakcyj polskich

do Ojca świętego

z prośbą o ogłoszenie św. Franciszek Salezego

patronem redaktorów katolickich.

OJCZE ŚWIĘTY!

W śród szermierzy za prawdę Bożą i w śród stróżów prawd i praw Kościoła należy się pewne, choćby najskromniejsze miejsce redaktorom pism katolickich. Po za wzniosłą i świętą hierarchią kościelną, która z Namiestnikiem Chrystusowym na czele stanowi poniekąd sztab jeneralny w wojsku Bożym; po za zakonami kościelnemi, które tworzą wybrane pułki gwardyi przybocznej, zajmują redaktorowie miejsce po części chorążych, po części przewódzców armii Chrystusowej. Podnoszą oni bowiem wysoko sztandar boży, i postępują w pierwszym szeregu walczących za prawdę Bożą i Kościół święty. Chwała tego sztandaru wymaga, aby ci którzy go dzierżą, z godnością i wytrwałością dzierżyć go umieli i dzierżyć aż do śmierci gotowi byli. Wierność tedy zasadom Kościoła i głębokie przejęcie się prawdami wiary, wyższe ponad wszelki interes osobisty, jest pierwszym obowiązkiem katolickiego redaktora.

O ile zaś redaktorowie katoliccy częstokroć obowiązani są być przewodnikami w staczaniu walk bożych, ponieważ walka ta toczy się słowem i piórem nie aby zabić, ale aby pouczyć błądzących, odeprzeć napastników, a utwierdzić wierzących, potrzeba redaktorom katolickim czujności, mądrości i roztropności, a nadewszystko cierpliwości i łagodności. Czujności potrzebują, aby baczne zwracać oko na wszelkie niebezpieczeństwo, i na często niespostrzeżenie wkradającego się nieprzyjaciela; mądrości i roztropności, aby rozpoznać blichtr od prawdy i ułudne znaczenie przeróżnych haseł tego wieku, a oraz stosowne obrać środki ku obronie prawdy; cierpliwości zaś i łagodności, aby się trzymać zasady chrześcijańskiej: *in necessariis unitas, in dubiis libertas in omnibus charitas*, wyrzeczonej przez wielkiego apologetę, a obowiązującej wszystkich jego naśladowców.

Z tego zaś łatwą jest rzeczą poznać, jakiej każdy redaktor katolicki, apologeta naszego wieku, potrzebuje cnoty i łaski Bożej, aby odpowiednio do swojego powołania, oddał usługi sprawie Bożej i w niczem jej nie zaszkodził przez brak którejkolwiek z cnót powyżej przytoczonych.

Ale z tych wszystkich przymiotów katolickiego redaktora najtrudniejszym do nabycia jest pono cierpliwość i łagodność, tych cnót bowiem nietylko walka chrześciańska z wrodzoną nam miłością własną, ale i naturą walki, którą w szczególności redaktor katolicki na sprawę Bożą staczać musi, nieodzownie wymaga. Redaktor albowiem katolicki musi w sobie pokonać miłość własną, gdyż inaczej nierzadko interes swój osobisty poczytywać będzie za sprawę Bożą, a tem samem prawie z pewnością narazi się na brak cierpliwości i łagodności, a krom tego walka z nieprzyjaciołmi Kościoła i prawdy Bożej na częste uniesienia wystawi go pokusy. Nieprzyjaciele bowiem Kościoła, nieprzebierając w środkach napaści, uderzają niekiedy na najdroższe sercu wierzącego skarbu z taką gwałtownością i z taką złą wiarą, że mimowoli oburza się przeciw temu wrodzona cześć i miłość dla prawdy. Tej też oni używają taktyki, iż odstępując od przedmiotu, napadają osoby w najdelikatniejszych sprawach. A w końcu walka ta z nimi wymaga doraźnej, natychmiastowej obrony, tak iż w niezliczonych wypadkach nie pozostaje nawet tyle czasu, aby ochłonąć z pierwszego uniesienia.

Wszystkie te okoliczności wpływają na to, ze redaktor katolicki może pobłądzić brakiem łagodności, i potrzebuje ustawicznie mieć przed oczyma i wzniosłe prawdy które wyznaje, i wielkie wzory które czci i szanuje, a oraz mieć zapewnioną opiekę i łaskę niebios, w którą wierzy, aby z chlubą i zasługą własną, a z prawdziwym Kościoła i dusz pożytkiem odpowiadał wzniosłemu powołaniu swemu.

Do tego zaś wielce pomocnem mu być może, jeśli zawód swój odda pod opiekę Świętego, który w mistrzowski sposób w swej osobie skojarzył cnoty, które ozdabiać powinny obrońcę wiary i Kościoła, a który wśród wybrańców Bożych odznacza się zdumiewającą łagodnością i duchem niewyczerpanej miłości.

Takim Świętym jest św. Franciszek Salezy, świeżo dekretem Waszej Świątobliwości policzony w poczet Doktorów Kościoła świętego. Jego tedy słusznie obyczajem katolickim za patrona i opiekuna zawodu redaktorskiego obrać wypada, abyśmy za jego przyczyną, nietylko potrzebną w naszej pracy silną wiarę i gorącą miłość Kościoła, ale też bezbrzeżną ku błądzącym miłość, w nawracaniu ich gorliwość, a w znoszeniu ich błędów niezłomną cierpliwość nabyć mogli.

Przeto też do pięknej myśli, przez włoskich katolickich redaktorów podniesionej, aby Ciebie, Ojcze święty, prosić, iżbyś św. Salezego patronem katolickich redaktorów ogłosić raczył, zaraz w pierwszej chwili serdeczniśmy przylgnęli, i osobiście pracą naszą trudną i niebezpieczną opiece św. Franciszka Salezego poleciliśmy, a dzisiaj, Ojcze święty, za innymi do tronu Twego pospieszamy, błagając, abyś w Twojej, Ojcze święty, znanej dla redaktorów katolickich przychylności, wyrozumiałości, i miłości, św. Franciszka Salezego uroczyście naszym patronem i opiekunem ogłosić raczył.

A do stóp Twych upadając, nam samym, pracy naszej, czytelnikom i przyjaciołom naszym, abyś Ojcze święty błogosławieństwa swego miłościwie udzielić raczył, kornie prosimy.

Lwów 8 grudnia 1877.

X. Stanisław Stojałowski, redaktor „Wieńca" i „Piasta."
Stanisław Otwinowski, redaktor „Pszczółki."
Stanisław Roman, redaktor „Pielgrzyma."
Stanisław Morawski współpracownik.
X. Adam Kopyciński, współpracownik.
X. Andrzej Kronenberger, współpracownik.
Tomaszewski, wydawca „Przyjaciela ludu."
Suffczyński, redaktor „odpowiedzialny."

O Samouctwie

i elementarzu dla samouków

Najpraktyczniej rzecz biorąc, nikt nie zaprzeczy, że każdemu, by najbiedniejszemu mieszkańcowi miasta, znajomość czytania i pisania, jest koniecznie potrzebną, podnosi cenę jego pracy, a nierzadko jest warunkiem jego istnienia. Jak zaś zbawiennie wpływa ta znajomość na ludzi nieoświeconych, wszystkim wiadomo. W święto, dla człowieka nieoświeconego szynk albo książka. Co wybrać?

Czytanie i pisanie jest pierwszym krokiem na polu oświaty, bez niego nie ma oświaty.

Dotąd pierwszych, że tak powiemy ziarn oświaty udzielały szkółki elementarne, początkowe. Gimnazya, budując na tej podstawie, rozwijały zarodki wiedzy, a wreszcie uniwersytety wydawały obfite kłosy umiejętności.

Każdy, komu tylko nie wstrętne są poważniejsze zagadnienia, każdy dbający o przyszłość pokoleń, o przyszłość ludzkości, boć to na jedno przecież wyjdzie, widzi, że szkółki elementarne nie wszędzie są, a co ważniejsza, nie wszędzie *mogą* tak być urządzone, żeby odpowiadały potrzebie, to jest, żeby rozsiały umiejętność czytania na wszystkie dzieci swego terytorium. Tyle pewna, że dotychczasowa działalność szkół początkowych ani w $^1/_3$ części nie może odpowiedzieć potrzebom.

Ta-to nagląca potrzeba wywołała na Zachodzie, u mężów, pojmujących całą doniosłość oświaty, prace, usiłowania, których najnowszym, ostatecznym wyrazem jest *samouctwo*.

Naturalnie, samouctwa nie należy pojmować w ten sposób, iżby dziecko, zamknięte w czterech ścianach izby, bez czyjegokolwiekbądź udziału samo nauczyło się czytać, — rzecz bowiem jasna, że tą drogą nikt się jeszcze niczego nie nauczył i nie nauczy. Dla nas, wyraz: „samouctwo" oznacza metodę, w której rola nauczyciela ogranicza się na kilku zaledwie wskazówkach, schodzi do możliwego *minimum*, kiedy tymczasem, jednocześnie, w tymże stosunku, potęguje się i rozwija samodzielna praca ucznia.

Pomijając dzieci, ileżto drogiego czasu trawią wyrostki i starsi na próżniactwie, demoralizacyi? Nie ostatnie miejsce zajmują tu nasze służące, z któremi, jako z istotami bardzo niskiej moralności, i pozbawionemi dobroczynnych skutków oświaty, trudno dojść do ładu. Tacy i takie niech się uczą czytać, a cel się osiągnie podwójny:

odejmą się demoralizacyi i nałogom,
ogrzeją się w promieniach oświaty.

Jeżeli dla kogo, to dla takich właśnie, najzbawienniejszą jest metoda samouctwa.

W celu samouctwa najznakomitsi pedagogowie obmyślali już od lat kilkudziesięciu rozmaite metody, zawarte w odpowiednich abecadlnikach czyli elementarzach. Naturalnie, że metoda musi tu być zupełnie inną, niż przy układzie zwykłego elementarza, choć cel tu i tam jeden: ułatwienie nauki czytania. Lecz wszystkie sposoby dawniejsze zasadzały się, po większej części, na biegłości nauczyciela, na jego doświadczeniu i pomyśle, na zbadaniu usposobienia, skłonności, zdolności uczniów, i zastosowaniu do nich odpowiednio obmyślanych środków. Każdy ze znakomitych pedagogów używał właściwego sobie, a zawsze ułatwiającego sposobu nauczania. Tak n. p. Basedow, z pomocą obrazków, kolorowanych najczęściej, wpajał w umysły dziatwy znajomość liter. W metodzie znów Froebla, dzieci, z patyczków, zatykanych w nawpół ugotowanym grochu tworzą litery i t. p.

Metoda zaś samouctwa dąży do ułatwienia nauki czytania i pisania za pomocą środków mechanicznych, nic nieznaczących, drobnych na pozór, w gruncie jednak rzeczy, do świetnych wiodących rezultatów.

Przekonani o potrzebie działania u nas w tym kierunku, wsparci doświadczeniem znakomitych na tym polu pracowników, wydaliśmy obecnie elementarz, będący owocem zbiorowej pracy.

Pomysł tego elementarza jest następujący:

Głoski w elementarzyku są dwojakie: pisane (kształty *cursive*) i drukowane. Tym sposobem dziecko uczy się jednocześnie pisać i czytać. Cały elementarzyk jest drukowany *farbą czerwoną*, co jest, jak zaraz zobaczymy, wielkiego znaczenia praktycznego. Osoba, mająca nadać popęd samouctwu, pokaże nieświadomemu, że głoska, którą widzi w elementarzu, nazywa się *a*. Skoro uczeń dobrze się jej przypatrzy, należy mu kazać zakreślać *piórem* wszystkie *a*, jakie tylko napotka w całym elementarzyku. To znaczy, że po chwilowem zetknięciu się nauczyciela z uczniem, uczeń, *bez jego pomocy* ma zajętych kilka, co najmniej, godzin, i to *pracą samodzielną*. Gdy uczeń zakreśli wszystkie *a* w elementarzyku, będzie już mógł z pewnością nietylko rozpoznać tę głoskę w każdej innej książce, ale, co większa, potrafi ją i napisać. Następnie nauczyciel pokazuje uczniowi, że druga z kolei głoska zowie się *b*, i t. d. Nie dość na tem. Uczeń, znający *a* i *b*, i który zakreślał je w całym elementarzyku, jest już doskonałym nauczycielem dla nic nie umiejącego. Abecadło to podwójne, zajmuje pierwsze dwie stronnice elementarza, składającego się z 16 stronnic tylko. Trzecia i czwarta stronnica zawiera liczbowanie, a to dlatego, że każdy umie z pamięci liczyć kolejno, tak, że pisząc cyfry i liczby literami, za jednym razem odnosi się potrójna korzyść: znajomość cyfr liczbowych, zgłoskowanie przy pisaniu każdej cyfry literami, i wreszcie, wprawa w pisaniu. Nauczający potrzebuje poświęcić krótką jeno chwilkę czasu, aby objaśnić ucznia, jak ma korzystać z tego ćwiczenia.

Od 5-ej do 12-tej stronnicy mieści się pacierz, drukiem i pismem (*cursive*), znów dlatego, że każdy umie pacierz na pamięć, a zatym piszący go, łatwo może nauczyć się zgłoskowania, a następnie czytania.

Wielokrotne pisanie na elementarzyku, a potym z pamięci na czystym papierze, przygotowuje ucznia tak dalece, że może próbować czytania na innej książce i przepisywania jej.

Ostatnią część elementarzyka zajmuje słownik illustrowany, i tu rysunki (drzeworyty.) odpowiednie wyrazom, ułatwiają ich odczytywanie.

Próby podobnego elementarzyka mieliśmy jeszcze przed trzydziestą laty, robione w Warszawie, — lecz niestety! skutkiem niemal powszechnej u nas obojętności ogółu na kwestye poważne, a także zapewne, skutkiem zaniedbania koniecznych środków rozpowszechnienia, ogłoszeń i t. p. przedsięwzięcie, w tak zacnym podjęte celu, żadnych prawie nie wydało owoców.

Obecnie wydany elementarz jest, pod wieloma względami, doskonalszym od tamtego, ulepszonym za poradą ludzi światłych i specyalistów, Mniemamy, owszem, jesteśmy silnie przekonani, że nasz elementarz do samouctwa, przyczyni się wielce do ułatwienia i rozpowszechnienia nauki czytania, będącej gruntem, na którym wznieść można i trzeba cały późniejszy gmach wiedzy. Przewodnikami w tym względzie mają być, w dalszej drodze, książki, również jak niniejszy elementarz, na podstawie samouctwa opracowane, i o ich wydawaniu już teraz myślimy.

Jakkolwiek w innych naszych oddzielnych wydaniach dla czytelników oświeceńszych, jak dotychczas tak i nadal trzymać się będziemy głównych zasad pisowni najznakomitszego naszego gramatyka ks. Fr. Ks. Malinowskiego, zasad, opartych na głębokiej znajomości narzeczy słowiańskich, to jednak w elementarzyku, o którym mowa, utrzymaliśmy pisownią deputacyi ortograficznej b. Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jako najbardziej rozpowszechnioną, i rzec można, o co tu najgłówniej chodzi, najprostszą, najprzystępniejszą dla umysłu prostaczków, a zatym najlepiej celom pedagogicznym posługującą.

Elementarz ten wyszedł z drukarni p. Jana Jaworskiego w Warszawie, wyraźnym i pięknym pismem, umyślnie w tym celu odlanym, na papierze trwałym. Koszta wydawnictwa powiększyły jeszcze drzeworyty, wykonane bardzo starannie przez panną *Sewerynę Stodulską*, (Chłodna, 40 w Warszawie.) Mimo to cenę elementarza, w widokach oświaty, oznaczyliśmy jak najniższą, wiedząc z doświadczenia, że nawet starszy uczeń, a cóż dopiero dziecko, jednym egzemplarzem obejść się nie może. Żądający egzemplarzów wprost od podpisanego wydawcy płacą za:

1 egz. gr. 12 (cent. 10.)
100 „ złp. 30 (zł. austr. 7 i c. 50).
500 „ złp. 133 i gr. 10 (zł. austr. 33 i c. 33.)
1000 „ złp. 233 i gr. 10 (zł. austr. 58 i c. 33.)

Skład główny u podpisanego wydawcy:

Dr. Władysław Miłkowski
w Krakowie.



Przegląd kronikarski *.)

Rzym. Zdrowie Ojca św. polepszyło się znacznie, czego najlepszym dowodem zapowiedziany na 28 grudnia Konsystorz, na którym mianowani być mają nowi Kardynałowie i Biskupi. Pomiędzy proponowanymi do kardynalstwa ma być i JX. Arcybiskup Feliński, wygnaniec i więzień w Jarosławiu rossyjskim. Kardynał Simeoni rozesłał nowy okólnik do posłów zagranicznych, dotyczący zakazu wszelkich procesyj przez rząd włoski.

Wielkopolska. Po zagodzeniu nieporozumienia pomiędzy kołem polskim w Berlinie, a komisarzami wielkiego prowincyonalnego wiecu, który miał być już zwołany we Wrześniu, zapowiedziano wiec ten na zimę. Nieporozumienie ztąd poszło, iż p. Łyskowski zaproszony na wiec, odpowiedział, iż koło polskie nie może brać udziału w *stronniczych* robotach. Tymczasem pokazało się, że p. Łyskowski wyraził tylko osobiste zdanie, koło zaś oświadczyło, że sobie nie rości prawa do kierowania wewnętrznych spraw kraju, a solidarność koła tak daleko nie sięga, iżby aż członkowie jego nie mogli z własnego przekonania brać udziału we wiecu. Jedna, jak się zdaje, korzyść wyniknie z tego chwilowego sporu, to jest ta, że wiec będzie miał charakter pojednawczy, tembardziej że urządzeniem jego zajmie się i książe *Roman Czartoryski*, osobistość powszechnie szanowana, i jak nam piszą: „perła wśród naszej arystokracyi.“

Galicya. Nadesłany nam ciekawy humorystyczny opis wyborów lwowskich, zmuszeni jesteśmy odłożyć do przyszłego dodatku. — Pisma lwowskie, nie chcąc się przyznać do tego, że odezwanie się p. Grocholskiego wyrwało im grunt z pod nóg, oznajmiają światu, że to ich zasługa, iż koło polskie wreszcie przemówiło, i krytykują to przemówienie już jako opóźnione, już to jako za mało stanowcze. Najzabawniejszy jest *Dziennik*, który kołu polskiemu przypisuje upadek Plewny, a upadek p. Dobrzańskiego smutkowi wyborców z powodu upadku Plewny. *Si tacuisses...!*

Na pewne oskarżenia przeciw redaktorowi „Piasta“ powoli odpowiadają fakta. Najpierw przeznaczenie X. redaktora do parafii P. Maryi Śnieżnej — a teraz pismo Konsystorza metropolitalnego, z którego cytujemy: „Przychylając się do prośby Wielebności Twojej z dnia 13 grudnia przeznaczamy Przew. X. Karola Turzańskiego, Kanonika kapituły Metrop. na cenzora duchownego peryodycznego pisma pod tytułem: *Posłaniec Serca P. Jezusa Franciszek ... Ksawery Arcybiskup.*“

*. Chcieliśmy z końcem roku koniecznie dokończyć pozaczynane artykuły, oraz umieścić uwagi o roku Kanossy, które z rokiem przyszłym utraciłyby na znaczeniu; w skutek tego w prze. tym *Piasta* nie stało nam miejsca na drobniejsze wiadomości, które zmuszeni jesteśmy jak najbardziej streścić. Z końcem miesiąca wydamy jeszcze jeden arkusz dodatkowy. Czytelnicy nasi wybaczą nieregularności ostatniego kwartału — trudno nam opowiadać właściwe a najprawdziwsze tejże przyczyny. Dosyć powiedzieć, że dopiero pojutrze osiąść będziemy mogli w naszym własnym kącie — a dodać to jedynie z zupełną prawdą możemy że wśród okoliczności utrudzających, jakie pokonywać musieliśmy, za rzecz wielką poczytujemy iż mogliśmy chociaż w ten sposób wydać Nr. — Nowy rok lepszy będzie!

Z drukarni Zakł. nar. im. Ossolińskich.